

SYLVIA NOÏRE

ICE

Obsession

VIERMONT #1

MC

SYLVIA NOIRE

ICE
Obsession
VIERMONT #1



Copyright © by SYLVIA NOIRE
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Barbara Wrona (tekstnanowo.pl)
Korekta: Agnieszka Liszowska
Opracowanie okładki: K&K Designer
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Pomysł na okładkę: MOJE WYDAWNICTWO

ISBN Papier: 978-83-68837-41-4
ISBN Ebook: 978-83-68837-42-1
ISBN Audio: 978-83-68837-43-8



Moje Wydawnictwo

- www.mojewydawnictwo.pl
- ✉ wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
- 📷 mojewydawnictwo
- 📞 mojewydawnictwo
- 📱 moje.wydawnictwo
- 📘 mojewydawnictwo



*Kiedy inni oczekują od nas, że staniemy się takimi, jakimi oni chcą,
żebyśmy byli, zmuszają nas do zniszczenia tego, kim naprawdę jesteśmy.
To dosyć subtelny rodzaj morderstwa.
Większość kochających rodziców i krewnych popełnia je z uśmiechem na
twarzy.*

Jim Morrison



PROLOG



Rok.

Minął dokładnie rok od nocy, która rozbiła mój świat na kawałki, a mimo to wszystko wciąż wraca do mnie z tą samą brutalną wyrazistością. Zapach alkoholu, dźwięk śmiechu odbijający się od marmurowych ścian rezydencji jednego z zawodników, migoczące światła i muzyka, która miała być celebracją zwycięstwa. Impreza po wygranym meczu. Nasz triumf. A jej koniec.

Lily.

Była tam. Pamiętam jej uśmiech, kiedy powiedziała, że idzie zacerpnąć świeżego powietrza. Pamiętam, jak poprawiała sukienkę, jak rzuciła mi spojrzenie pełne czegoś, czego wtedy nie potrafiłem nazwać. Może to była prośba, może zapowiedź pożegnania. Nie poszedłem za nią. Zostałem. Śmiałem się. Piłem. Uda-
wałem, że cały świat istnieje tylko tu i teraz.

Znaleźli ją godzinę później.

Martwą.

A potem wszystko potoczyło się tak, jak zawsze w naszym świecie – szybko, ale zbyt cicho i perfekcyjnie. Policja, prywatni prawnicy, rozmowy za zamkniętymi drzwiami i milionowe nazwiska, które miały zadbać, by prawda nigdy nie wydostała się na powierzchnię. Elitarna szkoła nie mogła pozwolić sobie na skandal. Rodzice za wszelką cenę chronili swój nieskazitelny wizerunek. A my – złota młodzież – mieliśmy pozostać nietknięci.

Sprawa została zamieciona pod dywan szybciej, niż dotarło do mnie tak naprawdę, że Lily już nie oddycha.

Oficjalnie był to nieszczęśliwy wypadek. Nieoficjalnie – temat tabu. Imię, którego nie wypowiadało się na głos. Historia, której nie było.

A ja? Zostałem z ciszą, która nagle stała się nie do zniesienia.

Siedzę teraz w swoim pokoju, w idealnie uporządkowanej przestrzeni, przypominającej raczej wystawowy apartament, a nie miejsce, w którym żyje człowiek. Światło nocnej lampki rzuca zimne cienie na ściany, a ja zaciskam palce na krawędzi łóżka, próbując odrzucić wspomnienia. Nie analizować tego już więcej.

Ale to niemożliwe.

Jej twarz wciąż wraca do mnie nocami. Jej głos. Dotyk dłoni na moim karku. I pytanie, które nigdy nie daje mi spokoju.

Dlaczego?

Dlaczego ona? Dlaczego tej nocy? Dlaczego nikt nie chciał poznać prawdy?

To właśnie wtedy coś we mnie pękło. Moment, w którym przestałem wierzyć w ludzi, w uczucia, w ciepło. Został tylko chłód. Kontrola. Zimna precyzja. Lód, który zamroził wszystko, co kiedyś było miękkie i żywe.

Od tamtej pory nie pozwalam nikomu się zbliżyć. Utrzymuję dystans. Buduję mur. A jednak pod tą lodową powierzchnią wciąż pulsuje gniew. I żal. I obsesyjna potrzeba poznania prawdy.

W świecie, w którym Lily została wymazana jak niewygodny błąd, pojawiła się Kim. Była jak niechciana prawda.

Jak iskra pod lodem.

A lód zawsze pęka najgłośniej wtedy, gdy wydaje się najtwardszy.



ROZDZIAŁ

1



Simon



UPADEK



ZŁODU I KOŚCI

Viermont. Miejsce, w którym szybciej uczymy się gry na lodzie niż czytania między wierszami. Gdzie każdy upadek człowieka sprzedaje się gorzej niż złamane łyżwy.

Dziś o kapitanie, którego idealna pozycja na tafli była równie bezwzględna, co perfekcyjna fryzura po porannym treningu. Można go podziwiać – i można się go bać. Dla jednych symbol, dla innych – zasada. A zasady są wygodne, dopóki nie zaczynają boleć.

Pytanie proste – ile kosztuje perfekcja? Kto decyduje, które rysy są warte zakrycia? W Viermont łatwiej jest zamieść kruchość pod dywan, niż przyznać, że ktoś został zraniony. Wtedy pakujemy jednorazowe uśmiechy i idziemy dalej.

Niektóre ślady znikają szybko – ale nie znikają całkowicie. Zwłaszcza te, które pozostawiła noc, o której oficjalnie nikt już nie mówi.

Nocturne

Zgniotłem gazetkę w dłoni, nim dotarłem do końca tekstu. Papier zapiszczał pod moimi palcami, a ja poczułem znajome napięcie w karku – to samo, które nawiedzało mnie zawsze, gdy ktoś próbował podważyć zajmowaną przeze mnie pozycję. Moje nazwisko nie padło ani razu, a mimo to każdy, kto czytał ten felieton, wiedział dokładnie, o kim mowa.

O mnie. O kapitanie. O Simonie Veyra. O idealnym chłopcu Viermont.

I o Lily.

To jedno zdanie, niby niewinne, niby aluzyjne, a jednak ostre jak ostrze łyżwy: „noc, o której oficjalnie nikt już nie mówi”. Serce uderzyło mi mocniej, wytrącając mnie na moment z równowagi. Przez ułamek sekundy lodowata kontrola, z której byłem znany, pękła. Ktoś właśnie sięgnął po coś, co powinno na zawsze pozostać pogrzebane.

– To jakiś żart – mruknąłem, unosząc wzrok znad papieru.

Szedłem korytarzem, a echo moich kroków odbijało się od zimnych ścian akademii. Czułem na sobie spojrzenia. Plotki rodziły się szybciej niż lód na nieprzygotowanej tafli. W Viermont jedno słowo potrafiło zniszczyć reputację, na którą pracowało się latami. A Nocturne właśnie rzuciła rękawicę. Bo byłem niemal pewien, że to była ona. Nie twarz, nie głos – styl. Precyzyjny, inteligentny i uważny. Ktoś, kto znał drużynę od środka, ale stał na wystarczająco bezpiecznym dystansie, by widzieć więcej. I nagle to imię pojawiło się w mojej głowie – jak niechciana myśl, której nie dało się już wyprzeć.

Kim.

Była dziewczyna Jareda. Zbyt błyskotliwa jak na zwykłą redaktorkę szkolnej gazetki. Wyjątkowo przenikliwa w spojrzeniu. Zawsze gdzieś obok – na trybunach, na korytarzu, z notesem albo telefonem, nieustannie analizująca wszystko wokół. A przede wszystkim: zbyt blisko mnie, odkąd Lily umarła.

Dostrzegłem ją przy automacie z kawą. Opierała się niedbale o ścianę, rozmawiając z kimś z redakcji, a jej śmiech był zaskakująco jasny jak na miejsce, które oddychało chłodem i ambicją. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, nie odwróciła wzroku. Przeciwnie – ledwie zauważalnie uniosła brew, jakby dostrzegała rzeczy, które powinny pozostać ukryte.

Pewna siebie i spokojna.

A przy tym... wyraźnie zainteresowana.

Nie powiedziałem nic. Tylko obserwowałem. Z notoryczną precyzją, jaką zachowywałem na lodzie. Każdy jej gest i drgnięcie palców. Każdy uśmiech podszyty czymś, czego nie potrafiłem jeszcze nazwać.

Może to nie była ona, ale jeśli była – właśnie rozpoczęła grę, której zasad nie zamierzałem respektować. A ja nigdy nie przegrywałem.

Kiedy mijałem ją na korytarzu, poczułem subtelny zapach jej perfum – ciepły, niepasujący do zimnego świata Viermont. Zatrzymałem się tylko na moment.

– Radziłbym uważać na to, co się pisze – oznajmiłem chłodno
– Niektóre historie potrafią wrócić i kogoś zmiażdżyć.

Jej uśmiech nie zgasł.

– A niektóre w końcu zaszługują, by zostać opowiedziane – odparła miękko, z nutą sarkazmu. Czyżby dokładnie wiedziała, gdzie uderzyć?

Zrozumiałem jedno. Cokolwiek robiła czy ukrywała. Kimkolwiek była. Od tej chwili nie zamierzałem spuszczać z niej wzroku.

Minąłem ją bez słowa, ale czułem jej spojrzenie na plecach jeszcze długo po tym, jak skręciłem w stronę hali. Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że pewnie posłała za mną tę swoją irytująco spokojną minę – ta cała sytuacja była pewnie jedynie drobną sceną w jej prywatnym przedstawieniu.

Kim miała w sobie coś drażniącego lekkiego. Wyglądało na to, że Vermont jest dla niej tylko planszą do gry, a nie polem minowym, po którym wszyscy ostrożnie stawiali kroki.

Ja nie miałem takiego luksusu.

Lodowisko przywitało mnie lodowatym powietrzem i charakterystycznym zapachem gumy, potu oraz chemii do konserwacji taflí. Ten aromat był moim jedynym stałym punktem. Jedyną pewnością w świecie, który przestał mieć sens. Szedłem do szatni, ostrza łyżew uderzały o beton w rytmicznym, znajomym tempie, a echo rozmów odbijało się od wysokiego sufitu niczym stłumiony pomruk burzy.

Zaciągnąłem mocniej taśmę wokół dłoni, testując chwyt kija. Drewno było zimne, ale pewne – zupełne przeciwieństwo chaosu, który zaczynał wdzierać się w moje życie poza lodem. Szatnia tętniła energią przedtreningową – przekleństwa, śmiech, głuche uderzenia sprzętu o metalowe ławki. Kaski, ochraniacze, bluzy drużynowe porzucone byle jak. Normalność. Gdyby nie jeden pieprzony felieton.

– Widzieliście tę gazetkę? – rzucił ktoś z końca pomieszczenia.
– Nocturne nieźle poleciała.

Zignorowałem to i zająłem swoje miejsce. Wtedy go zobaczyłem.

Jared siedział kilka szafek dalej i właśnie zapinał ochraniacze na kolanach. Dla niego wszystko było w idealnym porządku. Nic nie pękło, a Kim nie była problemem, który mógł rozsadzić spokój drużyny od środka.

Wstałem powoli i podszedłem do niego, nie spuszczając z niego wzroku.

– Pogadamy? – powiedziałem nisko.

Uniosł głowę. W jego oczach nie było już dawnej koleżeńskiej. Była tam surowa, lepka rywalizacja. Taka, która tylko czekała, żeby eksplodować.

– O czym? – prychnął.

– O tym, że masz trzymać swoją byłą na krótkiej smyczy – warknąłem. – Nie chcę więcej widzieć podobnych gównien w tej śmiesznej gazetce, na którą dyrektorka Ravencourt pozwala tylko po to, żeby udawać postępować.

Kilka głów uniosło się natychmiast.

Jared wstał powoli, demonstracyjnie.

– Nie jesteśmy już razem. Nie zauważyłeś, Simon? A poza tym, Kim na pewno nie jest niczyją własnością – wyjaśnił chłodno. – Może w twoim lodowym królestwie tak to działa, ale nie wszyscy liżą ci dupę tylko dlatego, że masz literkę K na koszulce.

Poczułem, jak coś we mnie pękło.

– Pilnuj tego, co trafia do jej felietonów, albo przestaniesz tu pasować – odparłem jeszcze bardziej lodowato. – I nie mówię o życiu towarzyskim.

Jego szczeka napięła się momentalnie.

– Może boisz się, że ktoś w końcu zacznie pisać o tobie? – rzucił. – Bo wiesz... kapitan z kruchą przeszłością traci blask szybciej niż ostrze bez regularnych szlifów.

Zrobiłem krok bliżej.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Albo co? – Uśmiechnął się kpiąco. – Przypomnisz mi, że to ty wybrałaś Lily zamiast...

Nie dokończył.

Pięść sama poleciała.

Uderzyłem go mocno w szczękę. Odpowiedział natychmiast – pchnięciem, szarpnięciem za kołnierz bluzy, przekleństwem, które wstrząsnęło całą szatnią. Ktoś przewrócił ławkę. Kask uderzył o podłogę z głuchym trzaskiem.

– Simon, kurwa, uspokój się! – wydarł się ktoś. – Rozdzielcie ich!

Kilka silnych rąk odciągnęło mnie do tyłu, ale Jared też się wyrывał. Oczy miał rozpalone jak przed decydującą tercją.

– Mam się bać twojego tytułu? – krzyknął. – Każdy wie, że tylko czekasz, aż ktoś cię zrzuci z piedestału!

Oddychałem ciężko. Mięśnie paliły, a w głowie pulsowała czysta, zwierzęca wściekłość.

– Spróbuj – syknąłem. – Zobaczymy, czy wytrzymasz presję choćby jednego meczu na moim miejscu.

Zapadła cisza. Gęsta i ciężka. Zapowiadająca wojnę.

Trener wszedł dokładnie w tym momencie i zmierzył nas zdecydowanym wzrokiem.

– Na lód. Teraz – rzucił krótko. – A prywatne dramaty zostawcie na pieprzone wieczory terapeutyczne.

Zapiąłem kask i wyszedłem pierwszy.

Gdy moje ostrze przecięło taflę, poczułem znajome napięcie. Lód reagował natychmiast, bez zawahania. Krążek sunął pod kijem idealnie, każdy zwód był instynktem, każde przyspieszenie przypominało mi, kim byłem.

Kapitanem.

Strategiem.

Liderem.

Ale nawet tu, między niebieskimi liniami i czerwonym punktem wznowień, dostrzegłem ją. Na trybunach. Z notatnikiem w dłoni. Skupioną. Czujną. Zamiast patrzeć na krążek, po raz

pierwszy od dawna poczułem, że ktoś próbuje odebrać mi kontrolę nie tylko nad drużyną, ale nad całym moim życiem.

Krażek śmigał pod moim kijem, choć moje ruchy były spóźnione i niedokładne. Ostrza ślizgały się niepewnie, a tafla zdawała się kpić ze mnie na każdym kroku. Myśli kłębiły się w mojej głowie, uparcie wracając do Nocturne, felietonu, Kim oraz Lily.

Zamiast precyzyjnych podań trafiałem w pustkę. Moje strzały miały zmuszać bramkarza do kapitulacji, ale krążek uciekał mi spod kontrolowanego uderzenia. Każdy ruch był chaotyczny, niepasujący do mojego zwykłego rytmu.

– Simon! – krzyknął ktoś zza moich pleców. – Widziałeś w ogóle, dokąd idzie ten krążek?!

– Kapitanie, ogarnij się! – dorzucił Max. – Nie możemy cały czas ratować twojej dupy!

Ich frustracja wkradała się w moje myśli, a ja czułem tylko większą presję. Nigdy wcześniej nie pozwoliłem, by coś tak mnie rozproszyło. A teraz? Spóźnione ruchy, spudłowane podania... Drużyna patrzyła na mnie z rosnącym zdenerwowaniem.

– Simon, stój! – ryknął trener, gwizdkiem przerywając akcję. – Dość!

Zatrzymałem się gwałtownie, łapiąc oddech. Drużyna stała w milczeniu, niektórzy przewracali oczami, inni kręcili głowami z niedowierzaniem.

– Gabinet. Teraz. – Trener wskazał dłonią. – Nie próbuj mi tłumaczyć, że to вина lodu.

Zrzuciłem kask, patrząc na kolegów z drużyny. Widziałem ich frustrację, irytację, a może i strach – bo jeśli nie uda mi się opanować siebie, ktoś może zapłacić za moje błędy.

Kiedy wszedłem do gabinetu trenera, drzwi zatrzasnęły się za mną z takim hukiem, że echo wydawało się donośniejsze niż każde uderzenie krążka.

– Co się dzieje z tobą, Simon? – zapytał trener, wskazując krzesło. – Nigdy nie widziałem cię tak rozkojarzonego. Nawet w najgorszych meczach nie traciłeś kontroli nad drużyną.

Oparłem się o blat, próbując zebrać myśli, ale im bardziej próbowałem, tym bardziej wracały obrazy Kim, jej spojrzenia, felieton.

– Musisz mi wytłumaczyć – kontynuował trener – bo jeśli nie ogarniesz tego teraz, nie tylko twój trening ucierpi, ale też cała drużyna. A ja nie mam zamiaru ciągle sprzątać po twoich emocjach.

Czułem, że napięcie w mojej klatce piersiowej rośnie. Wiedziałem, że musi się coś zmienić, że muszę znaleźć sposób, by odebrać te myśli, zanim zaczną mnie całkowicie niszczyć – i zanim ktoś w drużynie zrobi coś głupiego z powodu mojej nieuwagi.

Ale jedno było pewne: Kim nie pozwoliła mi się odciąć.

Usiadłem ciężko na krześle, jeszcze czując drżenie w dłoniach. Trener patrzył na mnie z mieszaniną zdziwienia i irytacji, a ja nie mogłem się powstrzymać od wymyślania kolejnych scenariuszy.

– Simon... – zaczął, ale przerwałem mu ruchem ręki.

– Nie teraz. Muszę to poukładać.

Zamknąłem oczy i przesunąłem obraz w głowie: felieton, sarkastyczne uwagi, które zdawały się czytać każdą moją myśl. Nocturne. Kim. Była zbyt inteligentna i czujna, żeby nie być autorką. Kiedyś blisko Lily i tak blisko prawdy.

– Wiem, że myślisz o niej – powiedział mężczyzna, przerywając moje milczenie. – Ale to nie powód, żeby rozpieprzyć cały trening i doprowadzić chłopaków do szaleństwa.

– Ona... nie jest zwykłą dziewczyną z widowni. To coś więcej. Felieton, w którym ktoś rusza starą sprawę... Ktoś, kto wie, jak uderzyć we mnie bezpośrednio.

Trener zmarszczył brwi.

– Kim? Była z Jaredem, nie?

Skinąłem głową.

– Dokładnie. I to, że przestała z nim być, niczego nie zmienia. Ona wciąż jest w tej grze. W tej... ich grze w Vermont. I coś mi mówi, że nie pozwoli, żebym cokolwiek kontrolował tak jak wcześniej.

– Słuchaj... – westchnął trener. – Musisz nauczyć się oddzielać łód od reszty. Od emocji. Od... problemów z dziewczynami. Nie

możesz pozwolić, żeby ktoś z zewnątrz decydował o twojej kontroli nad drużyną.

– Wiem – przytaknąłem. – Ale nie mogę pozwolić, żeby ktoś... grał w grę, której reguły sam ustalam.

Trener pokiwał głową i oparł się o biurko, patrząc na mnie uważnie.

– To, co robisz, to nie tylko sport. To strategia, kontrola, przewidywanie ruchów przeciwnika. Jednak pamiętaj, że każdy ruch ma konsekwencje. Jeśli pozwolisz, by Kim lub Nocturne zyskały przewagę... nie skończy się na felietonie.

To było ostrzeżenie i wyzwanie w jednym. Wiedziałem, że musi tak być. Muszę obserwować prawdopodobną autorkę wpisu, sprawdzać każdy jej ruch i komentarz. Ironię i uśmiech.

I nie pozwolę, żeby ktokolwiek odebrał mi kontrolę, nawet ona – nad drużyną, nad taflą, nad sobą. Bo jeśli jest jedna rzecz, której nie mogę stracić... to bycie kapitanem.

Kampus powitał mnie ciszą, która kontrastowała z hałasem hali. Korytarze były puste, lampy rzucały zimne światło na podłogę. Kroki odbijały się echem, a ja czułem, jak napięcie z szatni powoli we mnie krąży, nie pozwalając odetchnąć.

W pokoju zastałem znajomy chłód i porządek – sprzęty, książki, które już dawno powinienem posegregować, notatki z treningów. Usiadłem na łóżku, zrzucając taśmę z dłoni, i sięgnąłem po telefon, po czym wybrałem znajomy kontakt.

– Hej, Max – odezwałem się, gdy tylko odebrał.

– Simon? – Jego głos brzmiał jak zwykle na lekko rozbawiony, ale wyczuwałem napięcie. – Brzmisz, jakbyś właśnie przegrał walkę w ringu. Trener bardzo ci nagadał?

– Można tak powiedzieć – przyznałem. – Szatnia była... ciekawa. Felieton, Kim, Jared. Wszystko razem.

Kumpel parsknął śmiechem.

– Wiesz co? Masz prawo być wkurwiony, ale musisz odpuścić. Chodźmy na pizzę, chociaż na chwilę wyrwijmy się z tego przekłętego kampusu. Trochę normalności, zanim cała akademia zjedzie się z powrotem.

– Pizza brzmi dobrze, tyle że nie mogę się całkiem odciąć. Nie po tym, co się dzieje.

– Właśnie dlatego idziemy – uciął krótko. – Złap oddech, zobaczysz, że świeże powietrze i trochę sera zrobią więcej niż kolejny trening.

Uśmiechnąłem się, bo Max zawsze wiedział, jak uderzyć w odpowiedni punkt.

– Dobra. Spotkajmy się za godzinę przy bramie głównej.

Rozłączyłem się, opadłem na łóżko i wlepiłem wzrok w sufit. Myśli wciąż krążyły wokół tych samych tematów, po raz pierwszy jednak od wielu godzin poczułem, że mogę chociaż na chwilę wyrwać się z tej wojny – i sprawdzić, czy świat poza taflą i polityką Vermont wciąż istnieje. Nie na długo, to wiedziałem, ale nawet mała przerwa od lodowego królestwa mogła dać mi coś, czego brakowało najbardziej: spokój.

Godzina minęła szybciej, niż się spodziewałem. Max czekał przy bramie z rękami w kieszeniach bluzy, uśmiech miał rozluźniony i prowokujący jednocześnie.

– Gotowy na oderwanie się od świata lodowych tyranów? – rzucił na mój widok.

Skinąłem głową.

– Jeśli pizza będzie dobra, to jestem w stanie uwierzyć, że świat jeszcze ma sens.

Miasto przywitało nas ciepłym powietrzem i chaosem normalnego wieczoru. Światła latarni odbijały się w mokrym asfalcie, a odgłosy ulicy – klaksony, śmiech ludzi, stukot butów – były tak inne od echa szatni, że na chwilę niemal zapomniałem o trzymającym mnie napięciu.

– Więc – zaczął Max, szturchając mnie lekko w ramię – jak naprawdę czujesz się po tym... dzisiajszym cyrku?

Odchrząknąłem.

– Wkurwiony. Rozkojarzony. I... nie mogę przestać myśleć o Kim. Ten felieton... Nocturne. Wszystko w niej jest irytująco celowe.

Max spojrzał na mnie uważnie, cień zaciekawienia w jego oczach.

– A jesteś pewny, że to naprawdę Kim? Bo przecież te felietony wychodzą już od jakiegoś czasu. Różne dziwne rzeczy się pojawiały, a nikt nie ma pewności, kto siedzi za tym całym pseudonimem Nocturne.

– Wiem, że nie mam dowodów – przyznałem powoli. – Ale coś w tym wszystkim pachnie znajomo. Inteligencja, sposób obserwacji i te wszystkie subtelne prowokacje. Kim wygląda na sprytną i uważną. Niewykluczone, że to on stoi za tym szajsem.

– Ale... – Max uniósł brwi. – Naprawdę weszłaby z tobą na wojenną ścieżkę? To nie jest zwykła prowokacja, to frontalny atak.

Przymrużyłem oczy.

– To nie wojna, to test. I mam wrażenie, że ona chce mnie sprowokować... by zobaczyć, jak zareaguję.

Max uśmiechnął się lekko kpiąco, ale też z nutą troski.

– No to powodzenia, kapitanie. Chodźmy na pizzę, zanim ten cały lód i felietony cię dobiją. Może oderwanie się od akademii pozwoli ci w końcu zebrać myśli.

Westchnąłem. I w tym westchnieniu była ulga. Chociaż na chwilę.

Bo wiedziałem, że kiedy będziemy z powrotem, wszystko wróci do lodowego królestwa – do Kim, Nocturne i całej tej gry, której nikt nie rozumiał tak dobrze, jak ja.



ROZDZIAŁ

2



Kim



WIDMO



Siedziałam przy starym, skrzypiącym biurku w redakcji, otoczona papierami, długopisami i monitorami, które bardziej przypominały laboratorium niż miejsce, w którym powstają teksty. Przede mną i zespołem leżał nowy numer gazetki, którego częścią miał być felieton „Z LODU I KOŚCI” podpisany przez Nocturne.

– Kim, serio, kto to jest? – zagadnął Leo, mój przyjaciel od zawsze, szczupły gej, z zadziornym uśmiechem i blond włosami, z którym mogłam rozmawiać o wszystkim. – Przecież te felietony to nie są zwykłe teksty. To chyba... dzieje się po to, żeby namieszać w całej szkole.

– Nie wiem – odpowiedziałam spokojnie, podnosząc brew. – Trzy miesiące temu dostałam maila. Cały zestaw felietonów z dopiskiem: „Jeżeli chcesz poznać prawdę, zacznij publikować”. Zarzykowałam. I to wszystko.

Maya przewróciła oczami.

– Serio, Kim, dostałaś coś i od razu podjęłaś decyzję. Teraz my to publikujemy, nie wiedząc nawet, kto stoi za tym szajsem?

– Dokładnie tak – potwierdziłam, a ona tylko pokiwała głową, niby rozumiejąc, ale wciąż sceptycznie. Chociaż dziwne, że dopiero teraz zaczęli się zastanawiać, kto to jest. Przy wcześniejszych tekstach nie zadawali pytań. No ale przecież chodzi o złotego chłopca, perfekcyjnego kapitana, ideał w każdym calu.

– A Theo? – Leo spojrzał na chłopaka siedzącego po drugiej stronie stołu. – Ty pewnie już notujesz, kto może to pisać.

Theo uniósł brew. Widać było, że próbował powiedzieć „nie wciągaj mnie w to”, ale zachował to dla siebie i uśmiechnął się pod nosem.

– To ktoś, kto zna każdy zakamarek tej szkoły. Ktoś, kto widzi rzeczy, które normalnie umykają. Ja robię tylko notatki...

– Dla mnie to też jest dziwne – wtrąciłam się, wyciągając laptopa. – Nie znam autora, ale każdy tekst ma cel. Ten ktoś obserwuje naszą szkołę, uczniów, naszą cudowną drużynę. I to nie są zwykłe plotki, ale precyzyjna analiza. – Leo uśmiechnął się szeroko na moje słowa. – Czyli mamy frontową linię w Vermont, a my jesteśmy na widoku. I w dodatku ja jestem „narzędziem” tej

osoby – mruknęłam. – To znaczy... publikuję, nie wiem, kto to pisze, ale każdy tekst wywołuje falę reakcji.

Maya pochyliła się z zaciekawieniem.

– No i co? Serio ktoś by ryzykował konflikt z kapitanem drużyny hokejowej? Z królem lodu nikt nie zadziera, zwłaszcza od tamtej imprezy – dodała ciszej.

– Wiem. – Pokiwałam głową na zgodę. – Ten ktoś może... wstrząsnąć całą akademią. A ja chcę poznać prawdę. Chcę wiedzieć, co się stało z Lily. I dlaczego nikt jej nie bronił.

Leo zamrugał, usiłując ośwoić mój gniew.

– Masz na myśli Simona?

– Tak. Myślę, że nie byli tak idealną parą, jak wszystkim mogło się wydawać. Nikt z nas nie wie, co się działo za zamkniętymi drzwiami.

– Kim? – odezwał się znów Leo, marszcząc czoło. – Przecież te felietony są publikowane od tygodni. Różne dziwne rzeczy już wyszły... ale nikt nie powiedział, że to ty jesteś odpowiedzialna za te teksty. Naprawdę weszłabyś na wojenną ścieżkę z Simonem, gdybyś była autorką?

– To skomplikowane – odpowiedziałam, odchylając się na krześle. – Nigdy bym nie zaczęła czegoś takiego z pobudek osobistych. To nie o mnie, to o prawdzie.

– I ja ci wierzę – przyznał spokojnie Theo. – Nawet jeśli nie znamy autora, to jasne, że w końcu ludzie zaczną pytać, kim on jest.

– Dobrze, publikujemy dalej i zobaczymy, co się stanie – podsumowała Maya. – Ale obiecuję, że będę pilnować, by nikt nie wyszedł zbyt poszkodowany z tej sytuacji.

Leo nachylił się do mnie z uśmiechem i szepnął:

– I pamiętaj, Kim, że masz mnie. Oko na wszystko, przyjaciel przy boku. Nie jesteś sama.

Czułam, że w tym miejscu mamy naszą małą fortecę. Wredną, upartą, niebezpieczną... i wciąż prawdziwą.

Dotarło jednak do mnie, że wszystko dopiero się zaczyna.

Jego imię pojawiło się w mojej głowie nieproszonym echem. *Jared*.

Wystarczyło jedno wspomnienie, jeden detal, by żołądek ścisnął mi się boleśnie, a ciało zeszytywniało w dobrze znanym, panicznym bezruchu. Dłoń automatycznie powędrowała do rękawa bluzy, który nerwowo ścisnęłam, jakbym mogła w ten sposób powstrzymać drżenie. Na zewnątrz byłam Kimberly – pewną siebie, sarkastyczną, ciętą dziewczyną, której nikt nie podskakiwał. W środku jednak wciąż kryła się ta sama, przestraszona wersja mnie, która nauczyła się nie ufać dotykowi, nie wierzyć spojrzeniom, analizować każdy gest. Każdy chłopak był potencjalnym zagrożeniem. Każdy uśmiech takim samym jak jego.

Pamiętałam, jak to się zaczęło. Dość niewinnie.

– *Przesadzasz, Kim – mówił wtedy z tym swoim rozleniwionym uśmiechem. – Po prostu się o ciebie martwię.*

„Martwię się”. Te słowa były jak aksamitny kaganiec. Najpierw słodkie, potem ciasne. Nie lubił, gdy rozmawiałam z innymi chłopakami. Nie znosił, gdy śmiałam się głośno albo zakładałam coś „nieakceptowalnie krótkiego”. Zawsze znajdował sposób, by sprawić, że zaczynałam w sobie wątpić.

– *Po co ci ta bluzka? Kogo próbujesz prowokować? Naprawdę musisz z nim pisać? Zachowujesz się, jakbyś nie miała szacunku do własnego chłopaka.*

Powtarzał to tak długo, aż zaczęłam wierzyć, że to ze mną jest coś nie tak. Że to ja przesadzam. Że to ja prowokuję. Że to ja zasłużyłam na jego chłód, jego milczenie, jego nagłe zmiany nastroju. Pamiętałam, jak jego dłoń mocniej zaciskała się czasem na moim nadgarstku, gdy ktoś z drużyny spojrzał na mnie o sekundę za długo. Jak nachylał się wtedy blisko, udając troskę.

– *Nie prowokuj mnie, Kim – szeptał. – Wiesz, jak mnie to denerwuje.*

Serce wtedy przyspieszało, a oddech płatał się w piersi, ale się uśmiechałam. Zawsze się uśmiechałam. Bo dobra dziewczyna nie robi scen. Dobra dziewczyna rozumie.

A ja bardzo chciałam być tą „dobrą”.

Z czasem przestałam pierwsza sięgać po jego dłoń. Zaczęłam cofać się przy zbyt nagłym ruchu. Zauważyłam, że drżałam, gdy stawał bliżej, niż powinien. On to widział. I zamiast się zatrzymać – uśmiechał się, jakby ta kontrola dawała mu satysfakcję.

– *Boisz się mnie?* – pytał czasem półżartem. Nie odpowiadałam. Bo prawda była zbyt ciężka nawet dla mnie. Zaczęłam liczyć dni do momentu, w którym w końcu powiem „dość”. Szukałam wymówek, ratunku, cichej drogi ucieczki, ale więzy, które zbudował, nie były widoczne. Były w słowach, w spojrzeniach, w jego zdolności sprawiania, że czułam się winna za wszystko.

A potem nadszedł dzień, po którym już nic nie było takie samo. Nie potrafiłam wtedy jeszcze nazwać tego, co się wydarzyło. W mojej głowie to było tylko jedno – moment, w którym pękłam. Moment, gdy przestałam być jego dziewczyną, a zaczęłam być kimś, kto nauczył się bać.

Pamiętam jego twarz, gdy powiedziałam, że to koniec. Nie było w niej bólu, tylko zimna kalkulacja, jak u drapieżnika, który właśnie stracił zabawkę.

– *Myślisz, że możesz mnie tak po prostu zostawić?* – uśmiechnął się krzywo, opierając się o szafki. – *Jesteś naiwna, Kim.*

Zamarłam, gdy wyjął telefon. Nie musiał nic wyjaśniać. Wiedziałam.

– *Te zdjęcia? Pamiętasz, jak mówiłem, że to tylko dla mnie?* – Przesunął palcem po ekranie z chorą czułością. – *Wystarczy jeden klik i cała szkoła zobaczy, jaka z ciebie była grzeczna dziewczynka.*

Poczułam, jak kręci mi się w głowie, ale on tylko podszedł bliżej, nachylając się tak, by nikt nie słyszał.

– *Będziesz skończona. Stypendium, reputacja, studia...* Wszystko. *A ja?* – Uniósł brew. – *Ja nadal będę złotym chłopcem Viermont. Zawodnikiem drużyny przyszłości. Idealem. Tak mnie widzą.*

Dla nich był perfekcyjnym graczem, uśmiechniętym bohaterem lodowiska, dla mnie – oprawcą w białych rękawiczkach. Kimś, kto potrafił zamknąć mnie w klatce bez krat, bo ta stworzona przez Jareda była z słów i strachu. Jakby dostrzegała rzeczy, które powinny pozostać ukryte.

– *Spróbuj cokolwiek powiedzieć – dodał spokojnie. – A dowiesz się, jak wygląda prawdziwy koszmar.*

I wtedy zrozumiałam, że rozstanie z nim nie było końcem. Było początkiem wojny, której nie chciałam, ale w której już uczestniczyłam.

Kiedy odeszłam, nie było krzyków. Nie było scen. Po prostu przestałam istnieć w jego świetle, a on przestał istnieć w moim. Na korytarzach mijaliśmy się jak obcy. Jak gdyby między nami nigdy nic nie było. Jakby jego dłonie nigdy nie pozostawiły po sobie śladów, a moje nocne koszmary nie należały do jego imienia.

Teraz, gdy ktoś zbliżał się za bardzo, moje ciało reagowało automatycznie. Odsuwałam się. Usztywniałam. Oddychałam płycej. I tylko Leo potrafił dostrzec to bez oceniania. Bez pytań. Zwyczajnie był – z dystansem, który dawał mi poczucie bezpieczeństwa.

– Wszystko okej? – zapytał kiedyś dyskretnie, gdy odsunęłam się od przypadkowego dotyku jednego z uczniów.

– Jasne – skłamałam.

Bo Kim zawsze była „okej”. Nawet gdy całe jej wnętrze krzyczało.

I może właśnie dlatego tak bardzo chciałam ujawnić prawdę. Rozbić ten perfekcyjny świat Viermont na kawałki. Bo wiedziałam, że pod eleganckimi uśmiechami i pozorami kryły się historie podobne do mojej.

Ciche. Bolące. Ignorowane.

A ja miałam dość milczenia.

Redakcja po dwudziestej drugiej była zupełnie innym miejscem niż w ciągu dnia. Cisza nie była tu pusta – niosła echo wszystkich słów, które czekały, by zostać wypowiedziane. Lampki nad biurkami rzucały ciepłe, przytłumione światło na stosy papierów, notatki i kubki po zimnej kawie.

Siedziałam sama – jak zwykle wtedy, gdy nie potrafiłam zasnąć.

Laptop był otwarty, a folder z podpisem NOCTURNE pulsował niemal prowokująco, przypominając mi, że ta historia nigdy nie była przypadkiem. Przewijałam kolejne teksty, które dostałam kilka miesięcy temu – jedno opublikowane, inne wciąż nietknięte.

I wtedy go zobaczyłam. Plik, który był jednym z pierwszych w spisie od tajemniczego autora. Jednak ja sama decydowałam, który opublikujemy, nie trzymałam się listy, tylko robiłam tak, jak czułam.

Tytuł: „Idealni chłopcy na pokaz”. Serce zabiło mi szybciej – za szybko.

Otworzyłam go. To było o nim. O Jaredzie. O mnie.

Nie mogłam tego puścić w eter. Jeszcze nie. A może nigdy. Zaczęłam czytać.

IDEALNI CHŁOPCY NA POKAZ

W Vermont kochamy mistrzów. Kochamy ich błyszczące uśmiechy, perfekcyjne gesty i sportowe ambicje, które pachną sukcesem, jeszcze zanim w ogóle wyjdą na лёd.

Szczególnie cenimy tych, którzy potrafią wyglądać jak bohaterowie – nawet jeśli nie noszą litery K na piersi i nie prowadzą drużyny do zwycięstwa. Wystarczy, że solidnie trzymają swoją pozycję. Że są widoczni. Wystarczająco dobrzy, by budzić podziw. Wystarczająco sprytni, by nigdy nie wziąć pełnej odpowiedzialności.

Tacy chłopcy są idealni na randki. Na imprezy integracyjne, zdjęcia i uśmiechy do kamer. Są też doskonali w zamykaniu drzwi.

Bo kiedy światło reflektorów gaśnie, a szkolne korytarze przestają być sceną, ich delikatność zmienia ton, a czułość staje się narzędziem. Kontrola – troską. A zazdrość – miłością, która rzekomo ma chronić przed całym światem.

Idealny chłopiec wie, jak sprawić, by dziewczyna zaczęła wątpić we własne myśli. Jak wmówić jej, że bez niego jest nikim. Jak wymazać jej pewność siebie powoli, cierpliwie – słowo po słowie.

*Idealny chłopiec nie podnosi głosu.
Nie zostawia siniaków.
Zostawia ciszę.
I strach.
Najlepsi z nich zawsze mają coś w zanadrzu – fotografie, wiadomości, urywki intymności, które miały pozostać prywatne.
Pamiątki po zaufaniu, które można wykorzystać jak nóż – cicho, precyzyjnie, a przede wszystkim skutecznie.
Bo przecież idealny chłopiec nie krzywdzi.
On tylko „uczy pokory”.
„Ustawia granice”.
„Dyscyplinuje”.
A szkoła bije mu brawo.
Dzięki niemu dziewczyny uczą się nie patrzeć w oczy.
Nie mówić zbyt głośno.
Nie wychylać się.
Nie ufać.
I choć wszyscy widzą w nim przyszłą gwiazdę lodowiska – niewielu zauważa, że jego największym osiągnięciem nie są bramki, a perfekcyjnie złamana dziewczyna.
autor: Nocturne*

Zamknęłam plik odruchowo. Nie chciałam już na to patrzeć. Cursor zniknął, a ekran znów wypełniła bezpieczna pustka pulpitu.

– Nie – wyszeptałam sama do siebie. – Tego nie opublikuję.

Nie byłam gotowa.

Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek będę.

A mimo to wiedziałam, że Nocturne wiedział. O mnie. O Jaredzie. O tym, kim byłam, zanim nauczyłam się chować za sarkazmem i ostrymi ripostami. I to było przerażające.

W redakcji panowała cisza, ale ja czułam się tak, jakby ktoś stał tuż za mną – obserwował każdy mój ruch i niepewną myśl. Prawda już dawno wypłynęła, a ja wciąż próbowałam zatrzymać ją pod powierzchnią.

Kiedy wyszłam z gmachu głównego, było już późno. Noc zdążyła już opaść na kampus miękkim, ciemnogrnatowym welonem, a powietrze pachniało mokrą trawą i betonem, który oddawał ciepło całego dnia. Przycisnęłam torbę z notatnikiem do boku i ruszyłam w stronę akademików, starając się nie myśleć o mailach, o Nocturne, o Jaredzie... o Simonie.

Oczywiście los miał dla mnie inne plany.

Zobaczyłam ich przy jednej z alejek – dwa cienie sunące nierówno w świetle latarni. Simon i Max. Śmiali się z czegoś półgłosem, jakby późna pora zupełnie ich nie obchodziła. Wyjątkowo bez troski jak na noc w Vermont. Ich kroki były odrobinę nieskoordynowane, ruchy luźniejsze, spojrzenia mniej czujne.

Pomyślałam, że ich ominę. Że przemknę bokiem – jak zawsze. Simon jednak mnie zauważył. Jego wzrok natychmiast stwardniał, sprawiał wrażenie, jakby ktoś w jednej sekundzie zgasił w nim resztki alkoholu i zapalił czujność. Max posłał mi szybkie, trudne do odczytania spojrzenie, ale to Simon zrobił krok w moją stronę.

– No proszę... nocna redaktorka – rzucił z cieniem drwiny. – Pracujesz nad kolejnym dziełem sztuki czy tylko polujesz na bohaterów?

Uniosłam brew.

– Spokojnie, kapitanie. Gdybym chciała o tobie pisać, użyłabym więcej metafor. I mniej litości.

Max cicho parsknął śmiechem, a Simon zacisnął szczękę.

– Myślisz, że jesteś zabawna? – zapytał, podchodząc bliżej. Zbyt blisko.

– Myślę, że jestem realistką – odparłam słodko. – A realizm czasem bywa niewygodny. Szczególnie dla tych, którzy żyją na piedestale.

– Uważaj, Kim – wtrącił Max, półżartem, półostrzegawczo. – On dziś nie ma dobrego humoru.

– Widzę. – Przeniosłam spojrzenie na Simona. – Może to przez brak snu. Albo dużą ilość... autorytetu.

Jego oczy pociemniały.

– Powinnaś przestać igrać z ogniem – ostrzegł ciszej. – Serio? Nie każda brawura kończy się happy endem.

Zrobiłam krok w bok, żeby ich minąć i zakończyć tę farsę. I wtedy to się stało. Dłoń Simona – nieumyślna, szybka, niby zwykły gest mający mnie zatrzymać – musnęła mój nadgarstek.

Świat zamarł. Serce uderzyło gwałtownie, powietrze ugrzęzło mi w gardle, a skóra zapłonęła w miejscu dotyku jak pod żrącym lodem. Ciało przestało reagować, czułam, że coś we mnie pęka, a ja cofam się o kilkanaście miesięcy.

– Kim? – Głos Simona stracił ostrą nutę. – Hej... ja tylko...

Zbyt późno. Maską opadła. Czułam to aż za bardzo – spięcie w każdym mięśniu, dłoń zaciśniętą w pięść, spojrzenie wbite w jego palce, jakby były czymś obcym. Groźnym.

Max od razu to zauważył.

– Stary... zostaw ją – mruknął, wyraźnie trzeźwiejąc.

Simon cofnął rękę jak poparzony moją reakcją.

– Ja nie chciałem... – zaczął.

– Nie problem – wydusiłam po chwili, próbując odzyskać ton, który zawsze mnie ratował. Sarkazm. Pancerz. – Po prostu nie dotykaj ludzi, których nie znasz, okej?

Uśmiech, który próbowałam przykleić na twarz, był krzywy. Nieszczery. Ale on już widział. Widział tę sekundę bezbronności. Ten moment, gdy moje ciało zdradziło to, co głowa usiłowała uciśzyć latami.

– Kim, ja... – spróbował mnie uspokoić jeszcze raz, tyle że ostrożniej.

– Dobranoc, kapitanie – przerwałam mu. – I radzę uważać na to, kogo próbujesz zastraszać. Nie każdy się boi... prawda?

Odwróciłam się i odeszłam szybciej, niż podpowiadała mi duma. Nie obejrzałam się ani razu, ale czułam jego ciężki wzrok na plecach. Był zaniepokojony, a zarazem uważny.

Po raz pierwszy pomyślałam, że Simon Veyra może być bardziej niebezpieczny, niż chciałam przyznać. A może po prostu bardziej skomplikowany.



ROZDZIAŁ



Simon



WYBRANY



Lodowisko było jedynym miejscem, gdzie świat przestawał gadać mi do ucha. Zimno wbijało się w kości, oddech zamieniał się w parę, a krążek śmigał po tafli jak pocisk. Tu wszystko było proste – albo prowadziłeś drużynę, albo zostawałeś w cieniu.

Nie zamierzałem oddać nikomu swojej pozycji. A Jared... Jared nad wyraz chętnie wyobrażał sobie, jak zajmuje moje miejsce.

Sunął po lodzie z tą swoją pozorną pewnością, z uśmiechem, który zawsze mnie drażnił. Żółty chłopiec szkoły. Ulubieniec nauczycieli. Ten, który marzył, by ktoś w końcu założył mu opaskę kapitana. Nie miał jej. I cholernie go to bolało.

Max zagwizdał ostro, sunąc wzdłuż bandy.

– Skład! I przestańcie grać pod Jareda, to nie jego prywatne show. Kapitan jest jeden.

Wskazał mnie końcówką kija, bo faktycznie trzeba było komukolwiek o tym przypominać.

– Może po prostu jest w formie – mruknął któryś z chłopaków. Jared uśmiechnął się półgębkiem.

– Spokojnie. Nie wszyscy muszą błyszczeć tylko dlatego, że noszą opaskę.

Zahamowałem gwałtownie, ostrze zahaczyło o lód. Uniosłem wzrok.

– Masz z nią jakiś problem, Jared? – zapytałem z przesadzo-
nym spokojem.

– Skąd. Mówię tylko, że czasem warto grać zespołowo, a nie pod własne ego.

– Śmieszne, że to mówisz, skoro całe życie próbujesz grać pod publicz-
kę.

Z trybun dobiegł śmiech. Ktoś zaklaskał. I wtedy to usłyszałem.

– Wow. Chłopcy, serio, to już poziom przedszkola, czy dalej walczymy o tytuł najbardziej urażonego samca alfa?

Kim.

Stała oparta o barierkę, telefon trzymała luźno w dłoni, jakby przyszła tu tylko po widowisko. Światło odbijało się w jej oczach, a ten jej ironiczny spokój działał mi na nerwy bardziej niż komentarze całej drużyny.

Jared spojrzał na nią tylko przez ułamek sekundy. Krótco, ale ja to zauważyłem.

– Co, Hart? – prychnął. – Zbierasz materiał na kolejny paszkwil? „Jak rozpoznać toksycznego hokeistę w pięciu krokach”?

Jej uśmiech był chłodny i precyzyjny jak cięcie łyżwy.

– Spokojnie, Jared. Nie każdy zasługuje na osobny rozdział. Niektórzy ledwo na przypis.

W powietrzu zawisło napięcie gęste jak mgła nad lodem.

Max zerknął na mnie znacząco.

– Dobra, koniec tej telenoweli – rzucił. – Trening, panienki. Albo zaraz ktoś naprawdę straci zęby.

Gwiazdek nie było. Tylko sport, lód i spojrzenia, które mówiły więcej niż słowa, a ja już wiedziałem, że to nie był zwykły dzień na taflę.

Wyszedłem z lodowiska później niż reszta. Trening mnie wkurwił – nie dlatego, że był zły, tylko dlatego, że Jared znowu musiał grać lidera, że niby świat bez niego miał się zawalić. Idealny chłopak szkoły. Złota rączka, złoty uśmiech, złota reputacja. I złoty narcyz.

– Serio, stary, ty widziałeś, jak on się na tej odprawie przeżył? – Max prychnął, kopiąc mały kamień. – Jakby był kapitanem NHL, a nie członkiem szkolnej drużyny.

– On nie gra w hokeja, tylko sprzedaje wizerunek – rzuciłem chłodno. – A trener to kupuje jak debil.

– Ale laski też – wzruszył ramionami. – W tym jego była.

Nie musiał mówić imienia. Wiedziałem, o kogo chodzi.

– Kim nie jest już jego sprawą – powiedziałem, choć sam nie wiedziałem, czemu w ogóle to komentuję.

Max zmrużył oczy.

– Co, bronisz jej? Myślałem, że nie masz słabości do szkolnych wiedźm.

– Nie mam słabości do nikogo – uciałem. – Po prostu nie znoszę typów, którzy myślą, że są Bogiem, bo potrafią celnie uderzyć krążek.

Zaśmiał się, ale w jego śmiechu było coś nerwowego.

– Spokojnie, Simon, odpuść. Chodźmy na piwo, to rozładujemy napięcie.

Zaciągnąłem się chłodnym powietrzem i ruszyłem alejką w stronę akademików.

Wtedy ją zobaczyłem.

Kim.

Szła od strony głównego gmachu, gdzie znajdowała się redakcja. Ramiona napięte, plecy wyprostowane, wzrok wbity przed siebie. Zawsze wyglądała na kogoś, kto próbuje być ponad tym miejscem, a wszyscy wokół niej byli jedynie tłem.

Max też ją zauważył i szturchnął mnie ramieniem.

– No proszę – mruknąłem. – Królowa szkolnego dramatu na wieczornym patrolu.

Przyjaciół zerknął w jej stronę, a uśmiech rozlał mu się po twarzy.

– Ona serio ma jaja, że po tym wszystkim jeszcze tu spaceruje. Gdybym był jej byłym, już bym zmienił szkołę.

Kim uniosła głowę, a jej spojrzenie było ostre jak szkło.

– A ja myślałam, że skończyliście już trening – rzuciła. – Czy może zamknęli lodowisko z powodu zatrucia testosteronem?

– Spokojnie, nie każdy może pracować umysłowo jak ty. – Max kiwnął w stronę redakcji. – Ktoś musi robić tam za mózg szkoły.

– A ktoś inny za jej ego – dodała spokojnie. – W tej roli jesteście nieźli.

Uniosłem brew, patrząc na nią uważnie.

– Uważaj, Kim, bo jeszcze ktoś pomyśli, że masz osobowość.

– Spokojnie, Simon – uśmiechnęła się krzywo. – Przy tobie każdy wygląda jak geniusz. Nawet Max.

– Ej, halo, ja tu jestem – oburzył się teatralnie. – I mam uczucia, wiesz?

– Nie zauważyłam ich, pewnie schowały się pod zapachem twojej wody po goleniu. – odparła bez mrugnienia.

Było w niej coś niebezpiecznie pociągającego. Miała cięty język, ale ramiona zdradzały napięcie. Każdy mięsień mówił: uciekaj. Każde zdanie: nie dam się.

Zbliżyłem się o krok. Tylko jeden. Chciałem zobaczyć, czy się cofnie. Nie cofnęła się, ale jej palce drgnęły.

– Nadal bawisz się w idealną dziewczynę Jareda? – zapytałem, celując w czuły punkt. – Czy teraz jesteś już tylko jego byłym problemem?

Na ułamek sekundy zadrżała. I to nie był gniew.

– Przynajmniej nie muszę nikogo terroryzować spojrzeniem, żeby czuć się ważna – powiedziała chłodno. – W przeciwieństwie do ciebie.

Max cmoknął.

– Okej, robi się gorąco. Może wy sobie to wyjaśnicie w kuluarach?

– Nie potrzebuję widowni – uciałem. – Wystarczy ona.

Patrzyła na mnie wyzywająco, ale głęboko w tych oczach coś pękało. Jak szkło pod naciskiem.

W trakcie rozmowy zupełnie nieświadomie przesunąłem dłoń po jej ramieniu, próbując odsunąć ją z drogi.

I wtedy to się stało.

Zamarła.

Jej ciało zeszywniało, spojrzenie uciekło gdzieś poza mnie. Oddech stał się nierówny, krótki. Sarkazm zniknął. Maskę szlag trafił, a ona nagle wróciła do czegoś, czego nie chciała pamiętać.

Cofnąłem rękę natychmiast.

– Hej... – mruknąłem. – Wszystko okej?

Za szybko jednak odzyskała kontrolę i zbyt perfekcyjnie.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała cicho, ale twardo. – Nigdy.

Max przestał się śmiać. To było aż za bardzo widoczne.

– Serio, Kim, co to było? – zapytał już bez drwiny. – Jakbyś zobaczyła ducha.

Przeszyła go spojrzeniem.

– Zajmij się sobą, Max.

A potem popatrzyła na mnie znowu. I nie było już tylko sarkazmu. Były stal i lęk. I coś, co tak głęboko weszło mi pod skórę.

Zrobiłem krok w tył. Nie dlatego, że mnie pokonała, ale dlatego, że nie wiedziałem, co z tym zrobić.

– Masz problem z dotykiem – stwierdziłem.

– Masz problem z przekraczaniem granic – odbiła bez zawahania.

Cholera.

Patrzyłem, jak odchodzi, znów prostując ramiona i zakładając swoją wewnętrzną zbroję. Silna i ostra. Niedostępna. Ale ja już widziałem moment, w którym ta zbroja pękła. I choć od miesiący trzymałem wszystkich na dystans, po raz pierwszy poczułem coś niepokojącego. Zdziwienie, a zarazem zainteresowanie. I cholerną chęć zrozumienia, co ją złamało.

To był problem, bo ja nigdy nie chciałem nikogo rozumieć.

Wróciliśmy do akademika w ciszy, jakby lodowate powietrze z zewnątrz wpęzło z nami do środka i zagnieździło się między żebrami. Max przez całą drogę był nienaturalnie milczący. To zawsze oznaczało jedno – coś go gryzło, tylko jeszcze nie wiedział, w kogo powinien wbić zęby.

– Powiem ci jedno – mruknął w końcu, kiedy wspinaliśmy się po schodach. – Ta dziewczyna ma coś z głową. Albo ty masz i zachynasz to zauważać.

Zmrużyłem oczy.

– Zamknij się, Max.

Parsknął, ale nie ciągnął tematu. I dobrze.

Drzwi do mojego pokoju skrzypnęły cicho, gdy je otworzyłem. Było tak jak zawsze – lekki półmrok, zapach detergentów i chłodnej pościeli. Normalność. Rutyna. Bezpieczna nuda, której zwykle nawet nie zauważałem.

Tym razem jednak coś było nie tak.

Na moim łóżku leżała czerwona koperta. Idealnie gładka, jakby ktoś położył ją z namaszczeniem. Na środku, gdzie nie sposób jej przeoczyć. Papier był gruby, matowy, niemal luksusowy. A na nim, czarnym, precyzyjnym drukiem:

THE DOMINIUM PROJECT

Zamarłem.

Max zrobił krok do przodu, a potem drugi, wolniejszy.

– Nie... – parsknął nerwowym śmiechem. – To chyba jakiś jebany żart.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem tylko na kopertę, jakby była czymś, co może się poruszyć, jeśli spuści się z niej wzrok.

– Mówili, że to urban legend – dodał już ciszej. – Jakaś pojebana historia starszych roczników. Że dyrektorka ma obsesję na punkcie psychologii ekstremalnej, że w piwnicy szkoły są jakieś sale bez okien, że wybierają uczniów...

– Przestań – warknąłem, ale nie dlatego, że go nie słuchałem. Wręcz przeciwnie.

Słyszałem to wszystko już wcześniej. Na korytarzach. Szepcąc. Półżartem. Półserio.

O eksperymentach.

O przekraczaniu granic.

O łamaniu strachu.

O ćwiczeniach, które miały zniszczyć albo uczynić nietykalnym.

Mówili, że po tym programie wychodziło się innym człowiekiem. Silniejszym. Twardszym. Gotowym na podbój świata.

A jednocześnie mówili o tych, którzy „zniknęli na chwilę”.

O tych, którzy wracali cichsi.

Albo niezrozumiale spokojni.

Ja nigdy nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Nie fascynowało mnie to. Nie kręciło.

W przeciwieństwie do Lily.

Ona żyła tymi plotkami. Znała każde nazwisko, które rzekomo „zostało wybrane”. Twierdziła, że to szansa, prestiż, że to coś więcej niż zwykła szkoła. Marzyła o tej kopercie jak o bilecie do lepszego świata. I nigdy jej nie dostała.

Za to ja patrzyłem teraz na jedną... na swoim łóżku.

– Simon... – Max spojrzał na mnie z boku, już bez ironii. – Czyli to wszystko jest prawdą?

Powoli skinąłem głową, choć wcale nie byłem tego pewien. Mój instynkt krzyczał, że to nie prank czy głupi numer, ani zabawa znudzonych licealistów.

Podszedłem bliżej. Każdy krok był jak wchodzenie w coś, czego konsekwencji nie dało się cofnąć. Palce zawahały się na sekundę, zanim chwyciłem kopertę. Sam jej ciężar wystarczył, żebym poczuł niepokój.

– Nie otwieraj jej, jeśli nie chcesz – rzucił Max. – Bo wiesz, że jak to przeczytasz, już nie będzie odwrotu.

Spojrzałem na niego krótko.

– Już nie ma.

Rozdarłem papier powoli. W środku był jedynie arkusz i karta z nadrukiem tej samej nazwy. Treść była lakoniczna, niemal chłodna.

„Zostałeś wybrany do udziału w Programie Dominium.

Uczestnictwo jest przywilejem.

Twoja obecność wymagana jest jutro o 22:00. Wejście przez poziom -1.

Dyskrecja obowiązkowa”.

I nic więcej.

Żadnych wyjaśnień.

Żadnych obietnic.

Żadnych ostrzeżeń.

Tylko rozkaz ubrany w elegancką formę zaproszenia.

Max przechylił głowę.

– Kurwa... – wydusił. – Oni serio istnieją.

Zacisnąłem szczękę.

Nie chciałem tego.

Nie prosiłem o to.

Nie interesowało mnie to.

A jednak koperta leżała u mnie, a nie u Lily. Nie u jakiegoś nadgorliwego prymusa czy dzieciaka pragnącego udowodnić światu swoją wielkość. Ale u mnie.

I to było najbardziej niepokojące.

Max wyszedł kilka minut później. Rzucił jeszcze z lękiem ostatnie spojrzenie na kopertę i zamknął za sobą drzwi. Zostałem sam.

Cisza w pokoju była inna niż zwykle. Gęstsza i cięższa. Jakby powietrze wiedziało coś, czego ja jeszcze nie zdążyłem pojąć.

Usiadłem na łóżku, obok miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą leżała koperta. Trzymałem ją teraz w dłoniach, obracając powoli, prześlizgując palcem po wytłoczonych literach. The Dominion Project. Brzmiało jak nazwa korporacji, która przejmie nie firmy, a ludzi.

Powinienem myśleć o tym. O piwnicach. O dyrektorce. O eksperymentach. O tym, że jutro o dwudziestej drugiej mam stanąć twarzą w twarz z czymś, co dotąd istniało tylko jako szept. A jednak moje myśli uparcie skręcały gdzie indziej.

Do niej.

Do sposobu, w jaki zeszywniała, gdy ją dotknąłem.

Do jej spojrzenia, gdy powiedziała: „Nie dotykaj mnie. Nigdy”.

Do tej jednej szczeliny w idealnie wyćwiczonej masce.

Kimberly.

Zmarszczyłem brwi, poirytowany własną reakcją. To było chore. Nienormalne. Przez ostatni rok moje myśli należały do blondynki. Do jej śmiechu. Do jej głosu. Do wspomnień, które nie chciały wyblaknąć, nawet gdy bardzo próbowałem.

Dziewczyny? Owszem. Były. Na imprezach. W ciemnych pokojach. Na tylnych siedzeniach samochodów. Ciała ciepłe i chętne, usta, które nie zadawały pytań.

Seks. Tylko seks. Bez imion, bez zobowiązań, bez ran.

Trzymałem je na dystans. Wszystkie. Bo żadna nie miała prawa zbliżyć się do miejsca, które kiedyś należało do Lily. A teraz jakaś pyskata, irytująco mądra i dumna dziewczyna z redakcji wślizgiwała się do moich myśli, jakby nigdy nie było między nami tej niewidzialnej granicy.

Zirytowałem się. Wstałem, podszedłem do okna, opierając czoło o zimną szybę. Na dziedzińcu było pusto, latarnie rzucały

blade kręgi światła na mokry asfalt. Normalny widok. Normalny wieczór. A jednak wszystko wydawało się przesunięte o pół tonu.

„Nie masz nad nią żadnej władzy” – przemknęło mi przez myśl. I właśnie to bolało najbardziej.

Wróciłem na łóżko, znów kierując spojrzenie na kopertę. Na moje nazwisko. Na decyzję, której nie podejmowałem.

Nie chciałem tej ciekawości. Nie chciałem tego niepokojącego przyciągania. Nie chciałem jej. A mimo to coś we mnie budziło się z każdym oddechem, ciche i nieustępliwe – jak zapowiedź burzy wiszącej nad horyzontem. Czułem, że jutrzejszy wieczór będzie początkiem końca wszystkiego, co dotąd trzymało nas w ryzach. Rozpadną się granice, które wydawały się nienaruszalne, opadną maski, za którymi ukrywaliśmy prawdę, a lęki, tłumione przez tyle czasu, wreszcie znajdą drogę na powierzchnię.

I miałem cholerną pewność, że jeśli ten projekt naprawdę polega na łamaniu człowieka, to Kimberly i ja przestaniemy być tylko obserwatorami.